

PRACA nad sobą

APERIODYK MARIAWICKI
Zeszyt 50 Kraków, sierpień 2008 r.

PORÓWNYWANIE

Znaczenie każdej rzeczy zdobywamy przez porównanie jej z czymś innym. Stół jest duży w porównaniu ze szklanką, ale mały w porównaniu z domem. Wyrażenia oceniające, takie jak 'duży', 'mały', a również takie, jak 'ładny' i 'brzydki', 'prosty' i 'skomplikowany', a nawet 'dobry' i 'zły' nabierają znaczenia dopiero przez porównanie z czymś innym.

Każdy z nas lubi się oceniać. I to jest słuszne. Oceniając zarówno wrodzone i nabyte przez wychowanie zalety charakteru, jak i jego wady wiemy, co w sobie musimy rozwijać, a z czym walczyć. Oceniając nasze przeszłe postępkami (rachunek sumienia) widzimy jak powinniśmy w przyszłości działać, a jakiego postępowania unikać. Zarówno ocenę naszych skłonności, jak i postępków dokonujemy przez porównywanie siebie z pewnymi wzorcami. Tylko czasem możemy znaleźć impuls do pracy nad sobą w czystym świecie idei. Na ogół takiego impulsu szukamy w porównaniu się z

innymi ludźmi. Robimy to na ogół automatycznie i jest to całkowicie prawidłowe.

Porównując się z innymi widzimy, że jedni postępują lepiej od nas, inni gorzej. Myślimy wtedy: „nie, ja takiej podłości bym nie popełnił”, albo przeciwnie „nie, nie umiałbym postąpić tak szlachetnie”. Lub w innych sytuacjach, mniej skrajnych: „a ja bym postąpił mądrzej od niego” lub właśnie, „skąd ten człowiek tak mądrze postąpił, ja bym tego nie wymyślił”. Myśląc o jednym znajomym cieszymy się, że jesteśmy bardziej pracowici od niego, myśląc o innym podziwiamy jego pracowitość. I tak jest ze wszystkimi cechami ludzkimi, ze wszystkimi postępkami. Nasze własne porównujemy z cudzymi i wtedy potrafimy je ocenić.

I tu się okazuje jak dużo w naszym rozwoju zależy od tego, z kim się lubimy porównywać. Gdy się porównuję z ludźmi mniej pracowitymi od siebie, z głępszymi, mniej etycznie postępującymi, w ogóle w jakimkolwiek sensie „gorszymi” od siebie, nabieram przekonania, że jestem od nich lepszy. Jeśli dokonałem porównania uczciwie, bywa to całkiem słuszny wniosek. Tak, jestem lepszy od gorszych ode mnie. Fakt obiektywny! Więc z poczuciem słuszności oddaję się samozadowoleniu. Jaki mi to daje impuls do dalszej pracy nad sobą? Żadnego!

A jeśli się porównam z bardziej ode mnie pracowitymi, mądrzejszymi, etyczniejszymi, w jakimkolwiek sensie „lepszymi”, jeśli sobie uczciwie zdam sprawę, że jestem ten „gorszy”, to może wprawdzie czuję jakąś zazdrość, może chęć usprawiedliwiania siebie, że wprowadzie ja... ale są obiektywne powody, dlaczego nie potrafię być jak oni. Takiej podświadomej choćby zazdrości i takich podświadomych usprawiedliwień trudniej się całkowicie wyzbyć, niż się nam na ogół wydaje. Ale jeśli postanowiłem sobie być człowiekiem pracy wewnętrznej, to pod tym wszystkim powstaje impuls. „Chciałbym być taki jak oni, chciałbym umieć jak oni postępować”.

Czasem może się ten impuls przemienić zaraz w wolę odpowiedniej pracy nad sobą. Czasem może zadziałać dużo

później, gdy znajdę się w sytuacji wyzywającej mnie do naśladownictwa dobrego wzoru. Zawsze będzie to korzystniejsze od samozadowolenia.

Na jakim stopniu rozwoju wewnętrznego byśmy się nie znajdowali, zawsze jesteśmy średni. Zawsze i pod każdym względem (woli, pracowitości, inteligencji, moralności, uczuciowości...) znajdziemy ludzi gorszych i lepszych od nas. Jeśli w myślach będziemy mieli zwyczaj porównywać się właśnie z tymi lepszymi, będzie to dla nas z korzyścią. Rozmyślanie o tych gorszych korzyści nie da.

Taka nauka płynie i z ewangelicznej przypowieści o Faryzeuszu, który dziękował Bogu, że nie jest taki jak znajdujący się obok niego grzesznik, celnik. (Łukasz 18:10-14). Faryzeusz miał rację, że on lepiej zachowywał przykazania Boże od celnika i słusznie za to Bogu dziękował, ale że się porównywał tylko z gorszym od siebie, żadnej korzyści ze swojej - skądinąd pobożnej - medytacji nie odniósł.

brat Paweł

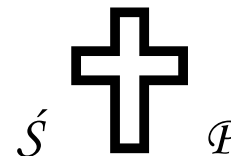


DRODZY PRENUMERATORZY

Od czasu podniesienia wysokości prenumeraty w roku 2000 upłynęło już 8 lat i w tym czasie kilkakrotnie zdrożały ceny papieru, kopert i opłat pocztowych. Mimo to nie podnieśliśmy dotąd jej wysokości (16 zł za 4 kolejne zeszyty, lub 20 - za 5), gdyż koszty własne udało się skompensować rodzajem druku i większą liczbą prenumeratorów. Ostatnie podwyżki rynkowe i zapowiedź dalszych podwyżek stawiają nas wobec nowych trudności co do zachowania wysokości prenumeraty. Ułatwicie nam utrzymanie jej dotychczasowej wysokości przez terminowe opłacanie prenumeraty i zdobywanie nowych prenumeratorów.

Kilka osób - na wieść o podwyżkach - odnawiając prenumeratę przysłało nam spontanicznie większe sumy. Dziękujemy, ale ponieważ prenumerata nie uległa podwyżce, nadwyżki zaliczamy na dłuższą prenumeratę.

Administracja



Andrzej Siemianowski

9-III-1932 - 16-VI-2008

filozof teologii, znawca doktryn wschodnich, ekumenista, wybitny myśliciel chrześcijański, członek Rady Mariawickiego Studium Teologicznego Parafii Polski Południowej i Czasopisma „Praca nad sobą”, profesor Wydziału Teologii Uniwersytetu Poznańskiego, były pracownik Akademii Teologii Katolickiej, Politechniki Wrocławskiej, Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu i Uniwersytetu Wrocławskiego. Tracimy w nim oddanego uczestnika Dzieła Miłosierdzia, doradcę, współpracownika.

Kapituła Generalna Zgromadzenia Mariawitów
Rada Mariawickiego Studium Teologicznego
Kolegium Redakcyjne *Pracy nad sobą*



PROFESOR ANDRZEJ SIEMIANOWSKI

Urodził się w roku 1932 w Poznaniu jako syn bankowca Jana i Anny ze Strzeleckich. Był wnukiem Józefa Siemianowskiego, wybitnego wielkopolskiego działacza niepodległościowego. Wyszedłony wraz z rodzicami w pierwszych dniach wojny, spędził jej lata głównie w Krakowie. Będąc wtedy ministrantem rozwinął zainteresowania teologiczne zadając poważne, a kłopotliwe pytania swoim katechetom. Zaraz po wojnie powrócił z rodzicami do Poznania. W szkole średniej interesował się więcej filozofią i literaturą niż przedmiotami szkolnymi. Zwłaszcza miał kłopoty z matematyką i fizyką, więc - jak sam się wyrażał - zdarzyło mu się „utrwać naukę”, czyli repetować. Maturę natomiast zdał znakomicie. Nie przyjęty w Poznaniu na studia polonistyczne z powodów ideologicznych (otwarciu się przyznawał do wiary, nie należał do ZMP), przez pół roku pracował jako robotnik, po czym rozpoczął studia filologii klasycznej we Wrocławiu. Na tym kierunku był niedobór kandydatów i nie zwracano tak bardzo uwagi na ich pochodzenie. Niedługo jednak uznał te studia za nieodpowiednie dla siebie i pracując w redakcji „Więzi” rozpoczął na Uniwersytecie Warszawskim jako ekstern studia filozofii, której pozostał już wierny do końca życia. Będąc uczestnikiem wydarzeń poznańskich 1956 roku otrzymał postrzał w głowę i przeszedł jej ciężką operację. Magisterium otrzymał mając 33 lata w roku 1965, doktorat - w 1969, zaś habilitował się w 1971.

Katolikowi i to myślącemu niezależnie, potrafiącemu krytycznie patrzeć na tomizm, nie łatwo było znaleźć odpowiednie stanowisko ani na państwowych,

marksistowskich wydziałach filozoficznych, ani na nielicznych wówczas uczelniach katolickich. Po zrobieniu doktoratu pracował kilka lat na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, gdzie jednak zaczęto mu wymawiać, że jako człowiek świecki wtyka palce w problemy teologiczne. I tak w roku 1974 władze ATK zdecydowały o zwolnieniu go z pracy. Jako habilitowany filozof otrzymał zaproszenie do Politechniki Wrocławskiej, ale ponieważ władze partyjne nie wyraziły zgody na zatrudnienie go w Instytucie Filozofii, przychylnie osoby załatwiły mu etat w Instytucie Historii Architektury i Sztuki, gdzie prowadził wykłady z historii nauki. W roku 1980 objął prowadzenie wykładów z filozofii w Akademii Ekonomicznej imienia Oskara Langego we Wrocławiu, gdzie po wypromowaniu paru doktorów, mimo wieloletniego oporu władz partyjnych, w roku 1988 uzyskał tytuł profesora, a w rok później został zatrudniony jako filozof na Uniwersytecie Wrocławskim. W początku obecnego stulecia, gdy nieco powiało nowymi wiatrami w teologii rzymskokatolickiej, zaproszono go również do prowadzenia seminarium na Wydziale Teologii Uniwersytetu Poznańskiego, gdzie mógł się wreszcie oficjalnie poświęcić pasji swojego życia - filozofii religii. Gdy w roku 2003 przeszedł na emeryturę we Wrocławiu, to seminarium prowadził nadal aż do śmierci.

W ostatnich latach choroba atakowała różne narządy jego ciała. Zdawało się, że potrafi zawsze zwycięsko z niej wychodzić. Zmarł w trzeci czerwcowy poniedziałek 2008 roku, dość niespodziewanie dla otoczenia, gdy z jego osobą wiązano różne plany dotyczące przyszłości.

Od roku 1961 do 1990 prowadził w Poznaniu, w mieszkaniu swojej matki oddział redakcji „Więzi”. Jako człowiek lubiący myśleć samodzielnie z łatwością przyłgnął tam do prądów ekumenicznych. Poznał wiele różnorodnych ekumenicznych idei i wielu wybitnych polskich ekumenistów. Reprezentował rzymskokatolicką archidiecezję poznańską na zgromadzeniu ekumenicznym w Bazylei w roku 1989. Otrzymał polskokatolicki medal „Serce za serce”. Pertraktował z rektorem ChAT-u, arcybiskupem Jeremiaszem w sprawie zrobienia doktoratu z teologii prawosławnej (miał tylko doktorat z filozofii). Jego podstawowym przekonaniem było, że różnice w wyznaniach chrześcijańskich są nieistotne, bo przecież przeżycia religijne i objawiające się w tych przeżyciach Boże istoty i fakty są te same. Natomiast różnice pojawiają się wtedy, gdy do opisu owych przeżyć i faktów zaczyna się zaprzęgać - jakże gruby w porównaniu z nim - opis filozoficzny. Z prawie 250 jego publikacji teologicznych i filozoficznych, za najbardziej charakterystyczną i cenną uważam książkę „Filozoficzne podłoże rozłamu chrześcijaństwa” (Wrocław 1993), gdzie metodycznie wykazuje między innymi, jak w ten właśnie sposób powstały różnice pomiędzy patriarchatami konstantynopolitańskim i rzymskim. Podobnie w artykule „Tomizm a Palamizm” („Europa wschodu i zachodu” #1.1997) wskazuje dlaczego tak trudno pogodzić prawosławne budowanie teologii na religijnych przeżyciach, z rzymskokatolickim jej budowaniem na rozumowaniach, choć Rzym teoretycznie uznaje mistycyzm, a prawosławie też się odwołuje do filozofii.

Andrzeja poznałem na przełomie wieków na konferencjach ekumenicznych. Nasze poglądy były tak zbieżne, że łatwo zawarliśmy przyjaźń. On po zapoznaniu

się z Objawieniami Mateczki przyjął Dzieło Miłosierdzia bez najmniejszego oporu. Mariawityzm był dla niego po prostu prawdziwym nurtem katolickim. Właśnie jako katolik uważał za słuszne przystępować do mariawickiej Komunii Świętej, gdy tylko do tego miał okazję. W Dziele Miłosierdzia widział głęboką, Bożą ideę. Sprawy liturgiczne obchodziły go mniej, a problemom organizacyjnym, rozłomom wewnątrz mariawityzmu, istnieniu w Europie trzech nie współpracujących ze sobą oficjalnie central: Płocka, Felicjanowa i Kolonii nie był w stanie w ogóle poświęcić większej uwagi. Natomiast rozumiejąc potrzebę formowania przyszłych mariawickich duchownych w sposób niezależny od skostniałych recept starokatolickich, a znając ograniczoność finansów mariawickich, zaproponował bezpłatne prowadzenie przedmiotów teologicznych i filozoficznych w Mariawickim Seminarium Duchownym w Płocku. Jego propozycja ze względów technicznych nie została jednak przyjęta. Z radością wziął za to udział w zorganizowaniu Mariawickiego Studium Teologicznego Parafii Polski Południowej i Czasopisma „Praca nad Sobą”, gdzie się okazał cennym członkiem Rady.

Był wspaniałym gawędziarzem umiejącym opowiadać anegdoty i o tym, jak w czasach stalinowskich pewien rektor chcąc uspokoić chichoty studenckie w czasie obchodów przyjaźni polsko-radzieckiej zawołał na całą aulę „Proszę się tam uspokoić; przyjaźń polsko-radziecka to nie jest nic wesołego!”, czy jak pewien młody profesor złapany przez pomyłkę za ramię przez studenta z zapytaniem „powiedz, gdzie ten s...syn N egzaminuje” Odpowiedział spokojnie „Na uniwersytecie tytuły rodzinne nie są brane pod uwagę. Tu obowiązują tytuły naukowe. Jestem *profesor* N. Proszę ze mną. Zaraz pana

przeegzaminuję” i po egzaminie bez dalszych uwag wpisał do indeksu „dobrze”. Gdy rozmawialiśmy o głośnej swojego czasu wypowiedzi jezuita Stanisława Obirka, że złotym cielcem polskiego katolicyzmu jest Jan Paweł II, potwierdził tę ocenę wspomniawszy, jak rozpoczynając doktoranckie seminarium poprosił uczestników, księży mających już magisteria, aby na początek któryś z nich zechciał omówić dowolnie przez siebie wybraną encyklikę Jana Pawła II. Mimo zachęt i podpowiadań, żaden tego nie umiał zrobić. Na pewno nie jeden z nich wygłaszał płomienne kazania zachęcające do czci wielkiego „polskiego papieża”, ale nikt nie potrafił powiedzieć, czego ten wielki papież właściwie nauczał. Pomyślałem sobie wtedy, że niestety wśród mariawickich magistrów teologii też by się znalazło takich, którzy potrafią wzywać wiernych do czci „naszej ukochanej Mateczki”, ale mieliby kłopot, gdyby ich poprosić o zreferowanie treści jednej - do wyboru - z ksiąg jej objawień.

Kiedyś napisał krótka rozprawkę o tym, że się nie da uniknąć różnic pomiędzy wyznaniem chrześcijańskim. Nie pasowała ona ani do pism ortodoksyjnych, ani do ekumenicznych. Ukazała się w „Pracy nad sobą” (zeszyt 32, s.2, 2004). Nie omieszkał pokazać tej publikacji swoim kolegom, teologom z wydziału - jakby nie było - rzymskokatolickiego. Opowiadał o tym tak: „Powiedzieli, że ciekawa teza i w oryginalnym czasopiśmie opublikowana - mariawickim. A ja się spodziewałem, że mnie okrzykną heretykiem. Coś się zmieniło w Kościele Rzymskim. Nawet heretykiem trudno tam teraz zostać.” Zachęcam naszych czytelników do ponownego przeczytania tego przyczynku. Widać w nim całego Andrzeja Siemianowskiego.

brat Paweł



DWA AFORYZMY

Gdyby nie było gór - czy byłoby więcej nieba?

Każde dziecko jest genialne. Głupiejemy dopiero na starość.

Honorata Korpikiewicz



* * *

*nasze domy stoją
pełne oczekiwania
powracamy jak ptaki
posłuszni przeznaczeniu*

*jabłoni w twoim ogrodzie
rodzi owoce*

*nocą
gdy sen zamyka wszystkie oczy
zakładam się i patrzę jak rosną*

*dla twoich dłoni
dla twoich ust*

*bezkresne pola pełne zbóż
mówcie mi o bezmiarze oceanu
ziemio ciężką wilgotną
bądź wytęsknioną wyspą
prowadźcie mnie
drzewa i wieże kościoła*

*Boże ponad chmurami
wysłuchaj mnie:
opowiem Ci o swej miłości
a Ty mi opowiedz o swojej*

Inga Trochimowicz



Ekumeniczny problem liczby sakramentów

Biblijne „łamanie chleba” - to nie było tylko dzielenie się tym, co mamy, ale przede wszystkim współuczestnictwo w Jezusie Chrystusie.

Rozdzielenie ciała i krwi Baranka symbolizuje Jego śmierć, połączenie ciała i krwi - zmartwychwstanie.

Uczestnictwo w śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa - a może raczej należałoby powiedzieć, że to Jezus uczestniczy w naszej śmierci, a my uczestniczymy w Jego zmartwychwstaniu - jest treścią każdego sakramentu.

Chrzest pokazuje rzecz dosadnie: pogrążenie w wodzie - jest jakby zakopaniem w ziemi, a wynurzenie - zmartwychwstaniem.

Bierzmowanie - nie było początkowo oddzielnym sakramentem - tylko udzielano go razem z chrztem; w wyjątkowych wypadkach wkrótce po chrzcie.

Modlitwa za chorych i grzesznych odbywała się w imię Chrystusa Zmartwychwstałego, który daje Ducha Świętego.

Kapłaństwo i małżeństwo nie zawsze i nie przez wszystkich są uznawane za sakrament (podobnie zresztą jak modlitwa za chorych i grzesznych)

Mamy zatem 7-4=3 sakramenty. Ale ponieważ bierzmowanie bywa łączone z chrztem mamy 3-1=2 sakramenty: chrzest i łamanie chleba.

I tak jedne Kościoły mają 7 inne 2.

Jan Jasnorzewski

PROBLEM HOMOSEKSUALIZMU A ŚWIADOMOŚĆ MARIAWICKA

Wszystkie wielkie wyznania religijne podejmują próby oficjalnego ustosunkowania się do problemu homoseksualizmu, który się stał palącym zagadnieniem obecnej epoki. W żadnym z obu Kościołów Mariawitów działających w Polsce nie podjęto w tej sprawie podstawowych ustaleń. Z obserwacji rozstrzygania konkretnych problemów personalnych odnosi się wrażenie, że obie te instytucje kościelne interweniują wtedy i dopiero wtedy, gdy grozi publiczny skandal, a nie wtedy gdy dochodzą pierwsze wieści o praktykach pewnych osób o odmiennej orientacji seksualnej. Tworzy to niezdrową, nieczystą atmosferę moralną. Ale jesteśmy tylko dwójgim szeregowych wiernych naszych kościołów i nie mamy na te sprawy wpływu.

Natomiast redakcja „Pracy nad sobą” zaproponowała każdemu z nas przedstawienie swoich poglądów na postawiony tu temat. Wybrano nas, bo jedno z nas jest kobietą, drugie mężczyzną, oboje żyjemy w normalnych małżeństwach, nikt nas nie posądza o homoseksualizm, oboje mamy dzieci. Oboje pracujemy w instytucjach publicznych wśród różnych jakościowo środowisk, co nam daje różne doświadczenia. Do tego jesteśmy członkami dwu różnych kół braterskich Zgromadzenia Mariawitów i należymy o dwu różnych mariawickich Kościołów. Otóż zdecydowaliśmy napisać jeden wspólny przyczynek zamiast dwu oddzielnych, bo oboje stykając się w praktyce z różnymi przejawami tego problemu dochodzimy przecież do takich samych wniosków.

Mówiąc najprościej: homoseksualiści to tacy dziwni mężczyźni, co czują pociąg do innych mężczyzn zamiast do kobiet i dziwne kobiety czujące pociąg do innych kobiet zamiast do mężczyzn. Słowem ludzie inni niż większość, czyli niż heteroseksualiści. Urodzili się z innymi uczuciami lub w pewnym wieku poczuli, że mają inne. Ci ludzie w swojej świadomości, a przynajmniej w podświadomości czują się pokrzywdzeni, bo w „normalnym” środowisku nie mogą jak inni eksponować swoich uczuć do osoby bliskiej. Jeśli są wierzący, to wiedzą, że Bóg nie mówi nic pozytywnego o nich w Piśmie Świętym. Tam doskonały związek tworzy zawsze mężczyzna z kobietą. Taki człowiek czuje się często zagubiony, zdesperowany, a może kaleki. Niejeden (niejedna) z nich próbował (próbowała) normalnego związku małżeńskiego, ale to nie wychodziło. Kończyło się nieszczęściem. Społeczności wielu wyznań, zwłaszcza

mniejszych, często pomijają ten trudny problem. Zamykają na niego oczy. Trudno się dziwić, bo jasnych wskazówek na te sprawy w Biblii nie ma. My uważamy, że tych ludzi nie powinniśmy potępiać, odtrącać od kontaktów towarzyskich, choć podobno częściej bywają zarażeni chorobami. Nawet jeśli niosą chorobę AIDS - są to zawsze ludzie. Niektórzy ich traktują jako chorych z racji samej ich skłonności seksualnej. Jeśli tak, to trzeba ich traktować jako chorych, a więc przyjaźnie. Dziś nawet alkoholików i narkomanów traktujemy jako chorych. Nie powinniśmy homoseksualizmu traktować gorzej od innych uzależnień.

Gdy nie możemy niczego innego, gdy nie potrafimy takim ludziom niczego doradzić, to polecamy ich Matce Najświętszej i Mateczce - Matce Miłosierdzia, aby podały im dłoń. Gdy przez Nie zaniemyśmy prośby do Stwórcy, On może znaleźć rozwiązanie każdej sytuacji dla nas nierozwiązalnej. A może ci ludzie są wśród nas właśnie dlatego, abyśmy żyli w świadomości, że dopóki nie przyjdzie na ziemię Królestwo Boże, dotąd trwa niedoskonałość i niedoskonali ludzie?

Tyle możemy zrobić my, szeregowi chrześcijanie. Od naszych przywódców, kierowników Kościołów chciałoby się natomiast jasnego postawienia i udzielenia odpowiedzi w kilku kwestiach. Zróbmy listę podstawowych problemów i w niektórych przypadkach proponujemy odpowiedzi do siebie:

1. Czy człowiek o skłonnościach homoseksualnych może być członkiem Kościoła? Odpowiedź jest natychmiastowa. Oczywiście, że może. Człowiek nie odpowiada za swoje skłonności, tylko za to jak ich używa.

2. Czy człowieka uprawiającego homoseksualizm nie należałoby usunąć z Kościoła? Odpowiedź również natychmiastowa: Nie! Mariawityzm nie uznaje ekskomunik. Każdy sam odpowiada za siebie przed Bogiem.

3. Czy człowiek o skłonnościach homoseksualnych może być dopuszczony do kapłaństwa, do członkostwa w Zgromadzeniu? Odpowiedź może się nie wydawać prosta. Ale w początkach mariawityzmu za pełną wiedzą Mateczki został przyjęty do Zgromadzenia Kapłanów człowiek o takich skłonnościach. Wówczas kapłanów obowiązywał celibat, czyli wyrzeczenie się jakiegokolwiek wyżycia seksualnego, obojętne jakiej orientacji. Ów ojciec zachowywał celibat, a gdy przyszły czasy małżeństw zakonnych, poślubił siostrę, którą traktował wyłącznie jako małżonkę mistyczną, nie fizyczną. Zmarł w opinii świętości.

4. Czy można zawrzeć małżeństwo pomiędzy osobami tej samej płci?

5. Czy osoba uprawiająca homoseksualne stosunki może być dopuszczona do kapłaństwa, na przykład osoba pozostająca w małżeństwie homoseksualnym?

Na dwa ostatnie pytania od siebie odpowiedzi nie proponujemy. Oczekujemy ich od naszych przywódców kościelnych.

Pierwotnie mieliśmy zamiar podpisać ten przyczynek naszymi pełnymi imionami zakonnymi, pod którymi nas znają w Zgromadzeniu, a już i poza Zgromadzeniem. Ale po napisaniu uświadomiliśmy sobie, że gdy to zrobimy, nastawimy przeciw sobie wiele osób z terenu naszej pracy społecznej. Uważamy, że fakt iż się boimy podpisać naszymi imionami mówi sam za siebie, dowodzi, że o tych sprawach właśnie mówić trzeba. Trzeba mieć jasną sytuację odpowiadającą ideom mariawickim. Nie możemy po prostu przyjąć gotowych rozwiązań tradycyjnych wyznań. Mamy własny wykład Pisma Świętego, korzystamy z Objawień Dzieła Miłosierdzia, mamy tradycje teologicznej myśli mariawickiej.

siostra Ł. i brat P.



WYWIAD Z BRATEM M. NORBERTEM SZUWARTEM ARCIBISKUPEM KOŚCIOŁA ZAKONU MARIAWITÓW W NIEMCZECH

Praca nad sobą: Przedtem Kościół Mariawitów w Niemczech miał w swojej nazwie wyraz „katolicki”. Czemu go teraz zabrakło?

Arcybiskup: Kościół Rzymskokatolicki sędownie uzyskał zastrzeżenie wyrazu „katolicki” wyłącznie dla siebie. Dlatego musieliśmy niestety ten wyraz usunąć z naszej nazwy. Dziwimy się nawet, że w Polsce Kościół Katolicki Mariawitów może występować legalnie pod tą nazwą.

P.: Nazwa Kościół Katolicki Mariawitów została urzędowo zatwierdzona w zaborze rosyjskim Polski na początku XX wieku. Ma obecnie już około stu lat tradycji. Jak widzimy, macie w Niemczech stale nowe problemy z zewnętrznymi przeciwnikami mariawityzmu. Ale chyba największe szkody wyrządziło Wam ostatnio podpalenie waszej siedziby w Kolonii?

A.: O tak, to był prawdziwy cios dla nas. W cennym, starym domu kończyliśmy właśnie remont, gdy ktoś podłożył ogień. Ale spotkaliśmy się z widocznym znakiem Bożej opieki. Cały dom padł ofiarą ognia. Tylko kaplica została nienaruszona. To wygląda na zupełny cud. Teraz dom restaurujemy od nowa. Tak, to było gorsze od decyzji sądu, że się nam nie wolno nazywać katolickim kościołem. Nazwa nie jest najważniejsza. Pozostajemy przecież nadal katolicy.

P.: W najbliższym zeszycie „Pracy nad sobą” chcemy poruszyć problem homoseksualizmu. Oba Kościoły Mariawitów w Polsce dotąd nie zajęły jeszcze oficjalnego stanowiska w tej sprawie, tak namiętnie dyskutowanej we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach i Kościołach. A co na ten temat mogą nam powiedzieć Niemieccy Bracia?

A.: Homoseksualizm jest faktem. Nie teologowie są powołani do badania i osądzania jego przyczyn. To problem psychologii i etnologii. Sprawą Kościołów jest objąć opieką wszystkich ludzi, a więc również ludzi nie-przeciętnych. Używam tu wyrazu nie-przeciętni, ponieważ dla homoseksualistów stanowczo nie chcę użyć wyrażenia nie-normalni. Kto jest normalny? Normy się zmieniają z biegiem stuleci i z następowaniem kolejnych kultur. W starożytnej Grecji homoseksualizm był w modzie. Dziś u większości ludzi wywołuje on obrzydzenie. Dlatego homoseksualiści - dotyczy to zwłaszcza choć nie wyłącznie mężczyzn - często bywają traktowani jako ludzie drugiej kategorii.

P.: Wielu ludzi widzi w tym po prostu coś niemoralnego. Czy Brat, Bracie Arcybiskupie, uważa, że zaspakajanie homoseksualnych instynktów jest moralne z punktu widzenia chrześcijańskiego?

A.: Na tak ogólnie postawione pytanie, nie potrafię dać odpowiedzi. Podobnie przecież nie można ogólnie powiedzieć, czy zaspakajanie popędu heteroseksualnego jest moralne czy nie. Tu każdy przypadek musi być rozpatrywany oddzielnie. Znam ludzi obu seksualnych orientacji którzy żyją moralnie i takich, co żyją niemoralnie. Duszpasterz musi każdy przypadek ocenić oddzielnie, starannie, zanim może udzielić duchowej porady. Ogólnie da się natomiast powiedzieć tyle, że homoseksualiści są warstwą społeczną najbardziej duszpastersko zaniedbaną. Chciano nawet zorganizować dla nich osobny Kościół, co było już zupełnie głupim pomysłem. Przecież w ten sposób dodatkowo odcinało by się ich od całości społeczeństwa. Trzeba ich dusze pielęgnować wewnątrz normalnych parafii i jednot religijnych. Pierwsi mariawici poświęcili szczególną troskę biedocie wiejskiej i analfabetom, którzy w owych czasach byli zaniedbywani w Polsce przez oficjalny

Kościół. W ten sposób zbudowali wielkość Kościoła Mariawitów. My teraz w Niemczech prawie nie mamy wiejskiej biedoty, nie mamy problemu analfabetów; ich miejsce zajęli homoseksualiści. Owszem, usiłujemy się szczególnie o nich troszczyć.

P.: Spotkaliśmy się z zarzutem, że Brat pozwala w swoim Kościele zawierać homoseksualne małżeństwa.

A.: Nie prawda! To jest po prostu niemożliwe! Związek małżeński może zaistnieć tylko pomiędzy mężczyzną i kobietą. Element żeński musi się połączyć z męskim, aby mógł zaistnieć sakrament małżeństwa. To można jasno i jednoznacznie wyczytać w Ewangelii. Natomiast posiadamy sakramentalium przyjaźni. Owszem błogosławimy niektóre pary homoseksualne według formuły tego sakramentalium. Czasami oni uważają to za małżeństwo. Nie jestem w stanie temu przeciwdziałać, choć zawsze stawiam sprawę z punktu widzenia teologicznego jasno: dwie osoby tej samej płci mogą być przyjaciółmi ale nie mogą być małżeństwem. Natomiast uważam, że jeżeli taka para uważa się wzajemnie za zobowiązaną sobie do wierności, to zarówno ze względów moralnych jak i higienicznych jest to rzecz pozytywna, niezależnie od tego czy samo istnienie tej pary uważamy za moralne czy niemoralne.

P.: Wymyśliliście... - przepraszam - ...ustanowiliście to sakramentalium specjalnie w tym celu?

A.: Ależ nie! Nie myśmy je wymyślili! Tę formułę błogosławieństwa bez żadnych zmian wzięliśmy z rzymskokatolickiego rytuału. Oni wcześniej wynaleźli taką możliwość. W niektórych diecezjach rzymskokatolickich już od dziesięcioleci błogosławi się w ten sposób jednopłciowe, przyjacielskie pary i nikt nie mówi, że jest w tym coś niemoralnego.

P.: A nam pokazywano w niemieckiej gazecie artykuł twierdzący z oburzeniem, że mariawici dopuszczają małżeństwa Homoseksualne...

A.: Gazety piszą o nas, co chcą, przeważnie nieprzychylnie. Czy Wy, w Polsce też nie przeżyliście tego? Kiedyś w gazecie zobaczyłem ogłoszenie z podanym moim telefonem i informacją, że u mnie można zawrzeć małżeństwo jednopłciowe. Kto to zrobił? Co przez to chciał uzyskać?

P.: Co Dostojny Brat chciałby jeszcze powiedzieć naszym czytelnikom?

A.: Chciałbym przesłać Waszym czytelnikom pozdrowienia od nas, niemieckich mariawitów. Żałuję, że nie znam polskiego, i nie potrafię czytać „Pracy nad sobą”. Niestety tylko jeden z naszych kapłanów zna język polski.

P.: Dziękujemy za rozmowę

z niemieckiego tłumaczył brat Paweł



PYTANIE O DUCHOWE ŹRÓDŁO HOMOSEKSUALIZMU

W każdym eonie, w każdej epoce, w każdym stuleciu, każdego roku, codziennie powstają na ziemi nowe pytania związane z etyką. Pytanie, na które człowiek musi odpowiedzieć w czystości sumienia mając całą dostępną sobie prawdę. Jedno z takich pytań, które powstało w czasach dzisiejszych, jest związane z poszukiwaniem duchowego źródła homoseksualizmu.

Teoretycznie homoseksualizm był obecny w niektórych cywilizacjach i kulturach. Lecz należy zawsze się zastanowić, czy znajdująca przez historyków jego obecność nie jest tendencyjna. Czy - na przykład - starożytny zachwyty uczniów nad mistrzem jest postacią takiego rodzaju seksualności? Istnieje taka możliwość, ale pewności nie ma.

Dodatkowa trudność w obiektywnym badaniu stanowi fakt, że schyłkowi każdej cywilizacji towarzyszyło ogólne rozerotyzowanie, które sprzyja różnego rodzaju seksualnym próbom ludzkości. Zazwyczaj źle się to kończyło dla danej kultury i cywilizacji. Jest to więc i dziś dla nas znak czasu, który należy dokładnie obserwować. Spróbujmy się zatem zastanowić nad przyczyną, potrzebą seksualności, czy też erotyki w ogólnym przypadku.

Seksualność człowieka pierwotnie służyła prokreacji. Jednak należy widzieć zmiany w tej dziedzinie życia jak w każdej innej. Tak jak na przestrzeni eonów zmieniał się organizm, a w szczególności funkcje mózgu, tak też się zmieniła seksualność człowieka. Jakie dziś jest spektrum przyczyn seksualności tudzież korzyści z niej płynących? Niektóre z nich można wymienić począwszy od najniższych: zaspokojenie popędów, potrzeba dominacji, szukanie rozrywki, szukanie przyjemności, poszukiwanie idealnego partnera, potrzeba dawania siebie, fizyczne odzwierciedlenie miłości, umacnianie związku partnerskiego, poczęcie życia. Pomiędzy tymi (i nie tylko) funkcjami powinna być zachowana harmonia. Jednak często tak nie

jest. Co więcej czasami ona nie jest zachowana z powodu braku dobrej woli.

Teraz przyjrzyjmy się funkcji poczęcia życia, ponieważ jest to najistotniejsza różnica pomiędzy erotyzmem w parach homoseksualnych i heteroseksualnych. Dawniej seksualność była jedyną formą prokreacji, był to jedyny sposób na poczęcie życia. Dziś poczęcie życia może być dokonane całkowicie sztucznie (na przykład *in vitro*), bądź też bardziej zależnie od organizmu człowieka, ale przy pomocy farmakologii i medycyny (na przykład terapia hormonalna). Możemy więc sobie wyobrazić świat, w którym niemożność naturalnego poczęcia jest typowa, albo nawet całkowita. Jaki wtedy pozostaje związek natury z procesem poczęcia?

Dalej, jeśli dziś proces rodzenia często jest wykonywany jako zabieg medyczny, jeśli dzieci mające sześć i pół miesiąca od poczęcia potrafią przeżyć, to w przyszłości rola noszenia dziecka i ciąży może być zredukowana jeszcze bardziej, albo i w ogóle wyeliminowana. Zatem człowiek od początku do końca będzie decydował o poczęciu, rozwoju płodowym i wyjściu nowego człowieka z inkubatora. Czym wtedy będzie seksualność? Jakie będą jej funkcje, jeżeli pary heteroseksualne nie będą tworzyły życia? Czy się będą różniły od par homoseksualnych? W co się przeistoczy seksualizm par heteroseksualnych? Czy zaniknie, czy nadal będzie spełniał swoje pozostałe funkcje?

Jednak w przyrodzie panuje zasada optymalności - „nieużywany narząd zanika”. Jeżeli seksualność w ogólności (jako funkcja towarzysząca) nie będzie miała na celu stworzenia życia, to po kolei narządy z nią związane będą zanikały, aż zostanie z nich tyle, ile człowiekowi pozostało z ogona w postaci kości ogonowej.

Czy w tym świetle homoseksualizm nie jest wyprzedzeniem epoki? Jest on niewątpliwie formą seksualizmu nie służącą poczęciu życia. Zatem pasowałby do opisanego scenariusza, kiedy to na świecie dzieci będą kreowane przez lekarzy, a nie w fizycznym akcie miłości. Należy jednak zauważyć, że wtedy przyroda równolegle przeprowadzi redukcję odpowiednich organów. Zatem, kiedy wyeliminuje się naturalne poczęcie, to wyeliminowane zostaną związane z tym organy. Czyli w hipotetycznym, przedstawionym scenariuszu ludzkość pozbawiona tej funkcji zostanie pozbawiona i narządów temu służących. Czy heteroseksualizm nie przemieni się w

postać identyczną z dzisiejszym homoseksualizmem? Czy w ogóle bez narządów płciowych możliwa będzie jakaś forma seksualności?

Należy oczywiście iść z rozwojem, należy mieć na uwadze tendencje ewolucji człowieka nawet takie, jak cyborgizacja życia. Natomiast należy trzeźwo patrzeć na to, co w danym eonie jest istotą człowieka i co jest związane z jego potrzebami, ale też z jego rolą w świecie.

Czy homoseksualizm świadomie odcinający się od możliwości poczęcia życia jest harmonijnie wpisany w rozwój ludzkości? Czy jest tylko przed-dźwiękiem przyszłości, która i tak będzie inna, bo się zmieni ciało ludzkie?

Seweryn Habdank-Wojewódzki



RECENZJE



Testament księdza Pągowskiego



Od daty wejścia w życie „ustawy parafii mariawickich” z lutego 1909 r. kierownictwo Kościoła mariawickiego zdawało sobie sprawę, że nastąpił zasadniczy zwrot w sytuacji prawnej nowego związku wyznaniowego¹. Do tego momentu nieruchomości i majątek ruchomy konieczny do działań tego związku był kupowany na imię osób fizycznych, najczęściej kapłanów-mariawitów. Ustawa przyznająca osobowość prawną parafiom pozwalała na odejście od niezwykle niebezpiecznego dla organizacji kościelnej nabywania majątku na imię osób fizycznych (prywatnych). Niebezpieczeństwo to mariawici odczuli jeszcze przed 1909 r. Mimo tej istotnej zmiany władze kościelne nie dopilnowały uregulowania kwestii majątkowych w kościele. Trudno obecnie zbadać dlaczego władze Kościoła Mariawitów podeszły do tego problemu z nonszalaną. Zaniechanie uregulowania kwestii majątkowych po 1909 r. spowodowało poważne materialne osłabienie Kościoła. Gdy po kilku latach nastąpiły odstępstwa niektórych kapłanów od mariawityzmu, majątek zapisany na tych księży, a

nabyty ze składek społecznych, znalazł się poza organizacją mariawicką. Odejście ks. Żebrowskiego, proboszcza warszawskiego, jeszcze przed I wojną światową nie naruszyło substancji majątkowej Kościoła z uwagi na skorzystanie z interpretacji ustalonej przez Senat w Petersburgu w dniu 24.XI /7.XII. 1908 r. w sprawie rozstrzygania sporów majątkowych między Kościołem rzymskokatolickim a mariawitami². Powrót księdza Marksa do Kościoła rzymskiego także w pierwszym okresie nie wywołał groźnych następstw dla mariawityzmu. Ksiądz Marks, na którego imię zapisane były dwa budynki kościelne w Łodzi złożył oświadczenie, że nie będzie rościł praw do tych obiektów. Dramat mariawicki zaczął się po 1923 r, gdy grupa kapłanów wypowiedziała posłuszeństwo biskupowi Kowalskiemu i odeszła. W większości księży ci wrócili do Kościoła rzymskiego, ale ceną ich przyjęcia na łono „prawowierności” było oddanie zapisanych na ich imię nieruchomości mariawickich. W konsekwencji mariawici utracili dwa budynki kościelne w powiecie łukowskim (odejście księdza Modrzejewskiego) oraz dwa kościoły w Łodzi, po które jednak wystąpił ksiądz Marks mimo poprzednich oświadczeń. Ksiądz Marks przymuszony został do tego działania przez ówczesnego biskupa łódzkiego Tymienieckiego, gdy po 1925 r. powstała diecezja łódzka.

Odmienne przedstawiała się sytuacja nieruchomości mariawickich w Zgierzu, po odstępstwie w 1923 r. księdza Pągowskiego. Duchowny ten nie wrócił do Kościoła rzymskiego, ale usiłował tworzyć, z negatywnym skutkiem, własną organizację kościelną. Urażony w swej dumie duchowny – sprawny organizator i człowiek wykształcony, ale arbitralny i zapalczywy - nie poprzestał na zabranii nie swojego majątku. Występował też jako świadek oskarżenia w słynnych procesach wytoczonych po 1926 r. arcybiskupowi Kowalskiemu i wykazał się wtedy zapiekłą nienawiścią do niego. Nadto w wystąpieniach do ówczesnych władz polskich wnosił o administracyjne zdjęcie arcybiskupa z urzędu i powierzenie jemu – Pągowskiemu – kuratorskiego zarządzania Kościołem Mariawitów. Sprawa księdza Pągowskiego odżyła po 1945 r., gdy po jego śmierci mariawici próbowali odzyskać utracony majątek zapisany testamentem przez tegoż księdza osobom trzecim. Problematyka związana z losami księdza Pągowskiego i realizacją jego testamentu znalazła omówienie w ostatnio wydanych „Zeszytach” zgierskich³.

Uważam, że warto się pochylić nad tą publikacją szczególnie, że Autor, Grzegorz Leśniewicz nie po raz pierwszy podejmuje problematykę mariawicką z uwzględnieniem zdarzeń na ziemi łódzkiej, a w szczególności w Zgierzu⁴. Jeszcze raz wykazał się obiektywizmem (co w opracowaniach o

mariawityzmie jest rzadkie), a nadto zaprezentował sprawny warsztat naukowy. Przeprowadził dogłębną kwerendę w aktach urzędowych i sądowych związanych ze sprawą majątku mariawickiego w Zgierzu. Nie można mu zarzucić błędnych ustaleń, lub wniosków podsumowujących treść prezentowanego materiału. Czytelnikowi recenzowanego opracowania przedstawione zostają: życiorys księdza Pągowskiego ze wszystkimi meandrami od momentu odejścia w 1906 r. z Kościoła Rzymskiego, rola tego duchownego na terenie Zgierza i w okolicach jako propagatora mariawityzmu i społecznika, swoiste zagubienie po odejściu z ruchu mariawickiego po 1923 r., oraz życie schyłkowe, gdy jako starzec usiłował znaleźć swoje miejsce w nowej rzeczywistości po 1945 r. Wynikiem tego zagubienia był jego słynny testament, w którym jako formalny właściciel zgierskiego majątku kościelnego, zapisał go osobie fizycznej. Grzegorz Leśniewicz dokładnie prezentuje losy tego testamentu i próby odzyskania majątku zgierskiego przez mariawitów. Uważam, że opracowanie to jest ważnym przyczynkiem nie tylko do historii mariawitów zgierskich, ale i historii mariawityzmu w Polsce. Mogę tylko wyrazić ubolewanie, że istotne dla historii mariawityzmu sprawy nie znalazły się w kręgu zainteresowań członków Kościoła Mariawitów. Ostatnio to właśnie spod piór ludzi nie będących członkami tego Kościoła wychodzą opracowania o mariawityzmie, gdy strona mariawicka milczy. Przystroją dla milczących niech będzie, że jeśli piszących niemariawitów zabraknie, jeśli sami mariawici nie podejmą tematyki mariawickiej, to „kamienie wołać będą” (Łukasz 19:40).

Grzegorz Leśniewicz nie ustrzegł się w swym opracowaniu kilku pomyłek, które nie zaciążyły zresztą na wartości pracy. Autor zapewne nie jest prawnikiem i wobec tego nie musiał wiedzieć, że po 1950 r. dokonała się w Polsce reorganizacja sądownictwa powszechnego i zmiana reguł procesowych. Spór o testament księdza Pągowskiego zaczął się pod rządami dawnych przepisów, a kontynuowany był po wprowadzeniu wyżej wymienionej reformy sądownictwa. Leśniewicz nie uwzględnia tej okoliczności stosując nieprecyzyjną terminologię prawniczą. Dla czytelnika nie-prawnika może być trudne do zrozumienia dlaczego nazewnictwo sądów rozpatrujących sprawę zgierską jest różne w różnych okresach.

Proponuję Autorowi, aby więcej uwagi poświęcił zagadnieniu osobowości prawnej Kościoła Mariawitów w Polsce. Może to się przydać w ewentualnych dalszych studiach nad ruchem mariawickim. Szczególnie ważna byłaby ocena sytuacji prawnej tego Kościoła począwszy od 1918 r. Oto do 1939 r. ówczesne władze polskie, niechętne mariawityzmowi, nie chciały uregulować statusu prawnego tego wyznania. Powodowało to wiele utrudnień

dla organizacji mariawickich, a nadto skomplikowało sytuację po 1935 r., gdy mariawityzm podzielił się na tak zwane grupy: płocką i felicjanowską. Mimo różnic dzielących te denominacje obie korzystały z tych samych, ograniczonych form uznania przez państwo. Formy pochodziły z czasów zaborów. Tego rodzaju praktyka władz polskich była założona i miała prowadzić do niejasności i konfliktów wygrywanych przez władze. Pan Leśniewicz dziwi się, że w 1947 r. władze polskie, regulując sytuację organizacji mariawickich w państwie, nie uwzględniły istniejącego podziału i różnego nazewnictwa obu Kościołów Mariawitów (s. 324-325). Nie mam na to bezpośrednich dowodów, ale uważam, że tego rozróżnienia w 1947 r. nie dokonano świadomie pragnąc nadal wygrywać rozbieżne interesy obu organizacji mariawickich. Tezę tę mogę uprawdopodobnić jedynie praktyką ówczesnych polskich władz wyznaniowych.

Autor stwierdza, że już w 1951 r. mimo trwających procesów o ten obiekt, pomariawicki kościół na Przybyłowiu w Zgierzu został, na polecenie ówczesnego ordynariusza łódzkiego biskupa Klepacza, przejęty kanonicznie przez diecezję rzymską łódzką. Było to działanie prawem kaduka (s. 314-315). I tu warto informację Autora o tym fakcie uzupełnić. W tym czasie biskup Klepacz cieszył się względami ówczesnej władzy państwowej, a po internowaniu w 1953 prymasa Stefana Wyszyńskiego stanął na czele grupy biskupów kierujących Rzymskim Kościołem w Polsce. Taki dostojnik kościelny był prawnie nietykalny i działał według swoiście pojętego prawa (prawo Kalego). Wobec tego kto mógł zabronić biskupowi Klepaczowi zajęcia spornego obiektu i włączenie go faktycznie do majątku Kościoła Rzymskiego?!

Błędem Autora jest określenie biskupa Przysieckiego (w 1946 r.) jako mariawickiego biskupa naczelnego (s.318). Biskup Przysiecki funkcję tę sprawował w Kościele po 1954 r. Leśniewicz nie wyjaśnił też jakich to świadczeń od władz polskich demonstracyjnie zrzekł się mariawicki proboszcz zgierski ks. Józef Gromulski (s.332) po przegraniu procesu o kościół w Zgierzu. Możliwe, że ten czyn księdza Gromulskiego dotyczył przysługującej mu – jako byłemu nauczycielowi szkół publicznych - emerytury (renty). Mam jednak wątpliwość, czy można się skutecznie zrzec tego rodzaju świadczeń.

Na koniec coś z ustnej tradycji mariawickiej. Mówił mi w swoim czasie kapłan Wawrzyniec Rostworowski, że gdy w 1946 r. biskupi mariawicy udzielali w Łodzi sakry biskupiej duchownemu starokatolickiemu księdzu Szypoldowi, przed nabożeństwem do katedry mariawickiej w Łodzi zgłosił się ksiądz Pągowski. Prosił o komżę i możliwość uczestniczenia w

charakterze duchownego w tej uroczystości. Ówczesny mariawicki biskup naczelny Jakub Próchniewski odmówił prośbie księdza Pągowskiego i nakazał mu opuścić zakrytą kościelną. Wydaje się, że gdyby biskup Jakub pokierował się w tym momencie miłosierdziem, a nie uprzedzeniem do „szkodnika społecznego”, który rzeczywiście po 1923 r. wyrządził wiele złego mariawityzmowi, lub mając uprzedzenia do niego jednak taktycznie zaliczył go do grona duchownych uczestniczących w obrzędzie sakry, może jego testament przyjąłby inną treść. W takiej sytuacji Grzegorz Leśniewicz nie miałby powodów do napisania tak ciekawego i dobrze umotywowanego opracowania.

Stawomir Gołębiowski

¹ Maryawita nr. 23 z dnia 10.VI.1909 r. s. 365.

² Ignacy Stobiecki - *Ważne wyjaśnienie „Praca nad sobą”* zeszyt 18, s. 37 - 38.

³ Grzegorz Leśniewicz - *Testament księdza Józefa Pągowskiego*, „Zgierskie zeszyty regionalne” t.II, Zgierz 2007 r. s.307 – 333.

⁴ patrz: Grzegorz R. Leśniewicz - *Historia zgierskich mariawitów* w zbiorze „Mniejszości religijne i wyznaniowe w Zgierzu, zarys dziejów”, s.19-31 Zgierz 2005 r, Grzegorz Leśniewicz, Dariusz Szlawski - *Z dziejów społeczności mariawickiej Zgierza w okresie międzywojennym*, „Zgierskie zeszyty regionalne”, t.I Zgierz 2007 r. s.97-117.



MYŚLAĆ O OBIRKU I MARIAWITYZMIE

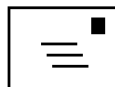
Jeśliście czytali artykuł Stanisława Obirka w poprzednim zeszycie „Pracy nad sobą” (zeszyt 49 s.28-31) to ciekawe, czyście zauważyli, jak wiele on mówi o mariawityzmie. Może powiecie że nie? Oto Obirek mówi tam o potrzebie zrozumienia ludzi wierzących inaczej niż my. Nie o to idzie, abyśmy powiedzieli, że to wszystko jedno czy jesteśmy czcicielami Chrystusa czy Kryszny, czy uprawiamy eucharystyczną drogę mistyczną czy zen. Powinniśmy jednak znać i rozumieć, również tych, którzy mają zupełnie inne przekonania religijne niż my i widząc różnice powinniśmy umieć dojrzeć i podobieństwa. Dojrzeć je z życzliwością, ze zrozumieniem - w miarę możliwości jak największym. Jeśli sami wiemy w co i dlaczego wierzymy, jeśli mamy doświadczenia duchowe nie musimy się obawiać poznania czegoś spoza naszego kręgu religijnego.

Duże fragmenty artykułu są poświęcone osobie Tomasza Węclawskiego, który będąc kapłanem Kościoła Rzymskokatolickiego, utworzył akademicką *Pracownię Pytań Granicznych*, forum mające za zadanie tworzenie pełnego zrozumienia pomiędzy ludźmi rozmaicie wierzącymi, również wierzącymi, że Boga nie ma. Nadmiar dogmatu i przerost dyscypliny - jak to określa Stanisław Obirek - zmusiła Węclawskiego, chcącego współ-rozumieć innych, nie tylko do porzucenia rzymskokatolickiego kapłaństwa, ale w ogóle do wystąpienia z Kościoła Rzymskokatolickiego. Artykuł kończy się słowami >>A może dotarcie do każdego serca jest nie do pogodzenia z przynależnością do jakiegokolwiek instytucjonalnej religii? [...] Jeśli tak, to może i odejście od jednej formy instytucjonalnej przynależności jest tylko wejściem w świat nieograniczony, otwarty, w królowanie Boga? <<

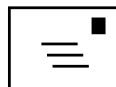
I otóż tu jest temat czysto mariawicki. Kościół Mariawitów, gdy był jeszcze jedną całością, orzekł, że wyrzeka się stosowania ekskomuniki¹. A to znaczy, że jeśli ktoś wierzy niezgodnie z doktryną Kościoła, to mariawici go nie usuwają ze swego grona, jeśli on sam chce w nim pozostać. Dogmaty to drogowskazy dla myśli, ale nie płotki ograniczające myślenie. Ta zasada obowiązuje dziś wszystkie odłamy mariawityzmu: płocki, felicianowski, niemiecki, afrykański, południowoamerykański... Kapłan powinien sam uznawać doktrynę swojego Kościoła i ją głosić. Ale i tu odróżnia się to, co jest wąską sferą dogmatów od dżungli opinii teologicznych wybitnych teologów. Gdyby Tomasz Węclawski był kapłanem na przykład największego odłamu - Starokatolickiego Kościoła Mariawitów, mógłby w *Pracowni Pytań granicznych* oddawać się bez przeszkód porównywaniu różnych myśli i doznań religijnych. Gdyby zaczął głosić rzeczy jawnie sprzeczne z dogmatami Kościoła Powszechnego, mógłby zostać odsunięty od funkcji kapłańskich (zasuspendowany), ale nawet w tym przypadku jego dalsza przynależność do Kościoła godziłaby się w zupełności z możliwością docierania do serc chasydów, mużulmanów, buddystów, joginów i ateistów. Mariawici wchodzą w świat nieograniczony, otwarty, w królowanie Boga bez odchodzenia od instytucjonalnej przynależności do swego Kościoła. Artykuł Stanisława Obirka przypomniał mi: jakie to szczęście, że jestem mariawitą.

były student

¹ Najwyższą karą kościelną jest pozbawienie członkostwa danej parafii. Stosuje się ją wobec jawnych szkodników.



LISTY DO REDAKCJI



WYNAGRADZAĆ ZA INNYCH...

DALSZY CIĄG DYSKUSJI

Zdaje się, że jednak adoracja wynagradzania 

Oceniając dotychczasowe wypowiedzi dotyczące adoracji ubłagania i wynagradzania odnoszę wrażenie, że uczestnicy dyskusji pominęli – używając terminologii jakby naukowej - aspekt przedmiotowy występujący w tej sprawie. Skupili się wyłącznie na aspekcie podmiotowym. Mianowicie rozważali wynagradzanie za siebie, lub innego człowieka. Nie wzięli pod uwagę, że wynagradzać można i należy „za coś”. W pojęciu „wynagradzania” mieści się bowiem „wdzięczność” za „coś”. Pracodawca płacąc pracownikowi wynagrodzenie „odwdzięcza” się za pracę wyłożoną przez pracownika w celu powiększenia majątku pracodawcy. Dziecko przytulając i uśmiechając się do rodziców „odwdzięcza” się (wynagradza) im za trud wychowania. Przykłady można mnożyć. Zastanówmy się, czy człowiek nie ma powodów, aby wynagradzać (być wdzięcznym) Bogu za wiele i to w układzie makro, jak i mikro (znowu terminologia pseudo-naukowa). Wynagradzać (w skali makro) za: piękno otaczającego go świata, za dzień i noc, za postęp techniczny, za to, że istniejemy, za podporządkowanie człowiekowi cudów świata (I Mojżeszowa 1:26). Na usta mogą się wtedy cisnąć słowa Psalmisty: >>...*Wobec niebiosów, dzieła palców twoich, wobec księżyca i gwiazd, któreś stworzył; czymże jest człowiek, że pamiętasz o nim...*<< (Psalm 8(8):4-5 tłum. L. Staffa).

Człowiek winien być wdzięczny Bogu (w skali mikro) za: codzienność mu towarzyszącą, opiekę i ratunek w sytuacjach krytycznych,

błogosławieństwo w czynach dokonywanych zgodnie z wolą Bożą. Za to codzienne Boskie towarzyszenie człowiekowi godzi się i należy wynagradzać. Choćby na wzór modlitwy żydowskiego krawca - Judki Silebrknopfa z noweli pozytywistycznej zwracającego się do Boga w te słowa: >>...*dziękuję za to, że jestem dzielnym mężczyzną; że jestem wolnym człowiekiem i mogę pracować osiemnaście godzin na dobę; że wreszcie jestem pierwszym krawcem warszawskim na całej Łosice i wszystkie okoliczności, nie zaś brzydkim i głupim zwierzęciem*<< (Klemens Junosza - Łaciarz).

Mam nadzieję, że wykazałem powody, dla których adoracja nasza ma być ubłagania i wynagradzania. Wobec bezmiaru łaski i miłości Bożej jakże pięknie brzmi modlitwa „wdzięczności - wynagrodzenia człowieczego” >>...*Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary? Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary? Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie, I w otchłani, i w morzu, na ziemi, na niebie...*<< (Jan Kochanowski).

Leon Maciąg, Katowice

Boga ubłagać i wynagradzać Mu 

Nie chcę, a raczej nie potrafię wchodzić w kwestie filozoficzno-teologiczne na tle dyskusji o adoracji ubłagania i wynagradzania. Uczestnicy dyskusji na łamach „Pracy nad sobą” przedstawili swoje wątpliwości i przekonania w tej sprawie. Ja pragnę dorzucić do tego, co napisano do tej pory na ten temat, kilka całkiem laickich uwag.

Moim zdaniem ubłaganie i wynagradzanie stanowią jakąś nierozłączną całość. Wiem, że modlitwa nie może być układem z Bogiem, swoistym przetargiem o łaski Boże. Zaprzeczeniem wiary i modlitwy będą wszelkie próby układu z Bogiem na zasadzie: „Panie Boże, spraw określone zdarzenie, daj mi pewną wartość ziemską, a ja w zamian wynagrodzę Cię modlitwą”. Modlitwa (każda) ma być uwielbieniem Boga - Stwórcy i dziękczynieniem za wszystko, co dał ludziom. Ma też być ubłaganiem Boga o dalszą opiekę nad rodzajem ludzkim. Nie jestem pewna, czy kierując do Boga modlitwę wynagradzającą mam określać powód „wynagradzania”. Zapewne wystarczy samo wynagrodzenie modlitewne bez wskazania powodów, dla których wynagradzam. Bóg w swej wielkości rozezna cele modlitwy tak ubłagania jak i wynagrodzenia i przyjmie ją, jeśli będzie

świadczona z całego serca i bezinteresownie. Nie mam pojęcia, czy nie popełniam w tym przypadku błędu uwzględniając modlitwy wynagradzające zawarte w modlitewnikach mariawickich. Tam wyraźnie się określa, że mam wynagradzać „za dusze cierpiące w czyśćcu, za tych, co Boga nie znają, albo Go opuścili, za synów marnotrawnych. Powstaje jednak pytanie – czy nie lepiej Bogu zostawić ocenę powodów, dla których Mu wynagradzam. Sądzę, że bez wgłębiania się w rozważania o ubłaganiu i wynagrodzeniu warto się skupić modlitewnie i wzorem proroka Samuela prosić >>Mów, Panie, bo sługa Twój słucha<< (I Samuela 3:10).

Lucyna Malik, Gdańsk

Próba podsumowania dyskusji

Zaproponowano mi podsumowanie dyskusji rozpoczętej w ubiegłorocznym listopadowym zeszycie „Pracy” listem *Dominiki* do redakcji „Wynagradzać za innych”, a kontynuowanej w następnych zeszytach, aż do obecnego włącznie. („Praca nad sobą” zeszyty: 47, s. 28, 48, s.30,31, 49, s.25,26 i obecny zeszyt, dwa listy powyżej). Zastanawiałem się, że może to za wcześnie, gdyż do redakcji doszły słuchy, że jeszcze pewne osoby przygotowują się do nadesłania wypowiedzi. Ale może i za późno, bo w dwu ostatnich wypowiedziach dyskusja zaczyna już zbaczać z pierwotnego tematu i ledwo trącając postawiony problem wynagradzania za innych rozmywa zagadnienie mówiąc o wynagradzaniu za coś, o ogólnym okazywaniu wdzięczności.

Myślę, że trzeba podziękować uczestnikom dotychczasowej dyskusji za przytoczenie tak różnych wątków dotyczących zagadnienia, bo bynajmniej nie jest ono proste. Pożyteczne są również obie opinie z obecnego zeszytu, nawet jeśli nie dotyczą one *bezpośrednio* dyskutowanego problemu, ale stawiają sprawę wynagradzania za innych w szerszym kręgu pytań, czy i jak powinniśmy i możemy wynagradzać Bogu za łaski otrzymane przez świat i przez nas osobiście (wypowiedź pana *Leona Maciąga*).

Za pozytywne stwierdzenia dyskutantów trzeba przyjąć następujące. Bogu powinniśmy nie tylko być wdzięczni, ale i tę wdzięczność okazywać w modlitwie. Takie modlitewne okazanie wdzięczności jest wynagrodzeniem Bogu za jego łaski, choć - jak to słusznie zauważa *Lucyna Malik* - jest ono czymś innym niż umowne wynagrodzenie za wykonaną przysługę. Z Bogiem

umów nie zawieramy, co jest ważnym stwierdzeniem dla podstawowego problemu dyskusji. Podobnie stwierdzenie tej korespondentki, że adoracja ubłagania i wynagrodzenia stanowi całość, jest dane samym objawieniem (*Początek Zawiązku*, akapit 47, *Dzieło Miłosierdzia*, s.28). Bardzo celne jest zdanie *adoratora*, że wynagradzanie za innych nie jest osobistą sprawą moją i danego, konkretnego niedowiarka, ale sprawą społeczną tak, jak społeczną była sprawa liczby sprawiedliwych w Sodomie. I za słuszną uważam wypowiedź *Franka*, że byłoby nonsensem zacząć wynagradzać za innych dopiero wtedy, kiedy sam się stanę doskonały. Dlatego też największe wątpliwości budzi we mnie wypowiedź *siostry Adeli*, która chce wpierv ustalić w rodzinie priorytety i - jak pisze - dopiero wtedy będzie wiedziała, czy znajdzie czas na modlitwę za siebie i tych, którzy „nie chcą znać i miłować Boga”. Droga Siostrzo, kto ma dużo czasu powinien się dużo modlić. Kogo rodzinne i zawodowe priorytety zmuszają do pracy ponad normę, temu wystarczy poświęcić na modlitwę (aby prawdziwą, żarliwą) pięć minut dziennie. Wtedy sama jego praca może się stać i modlitwą i wynagrodzeniem za innych.

Chciałbym się tu odwołać do mojego artykułu z poprzedniego zeszytu „Pracy nad sobą” (*O prawach „nie fizycznych”*, zeszyt 49, s.5). Napisałem tam, że w światach wyższych nie obowiązują prawa ziemskiej arytmetyki. Dlatego niesłuszne są obawy *Dominiki*, że dopiero kiedy odprawi godzinną „swoją” adorację Przenajświętszego Sakramentu, co uważa za własny obowiązek, może odprawić drugą godziną, wynagradzającą za innych według arytmetyki 1+1=2. Owszem, opisany przez nią przypadek może być wzorem wielu działań wynagradzających. Gdy mam czas, czy to godzinę, czy kwadrans, czy 5 minut, mogę taką czy inną adoracją, pieśnią, modlitwą ustną, myślną, medytacją lub westchnieniem wynagradzać wyłącznie za innych, którzy sami tego nie robią z wyłączeniem jakichkolwiek osobistych podziękowań Bogu. Ale mogę też do każdej mojej modlitwy wynagradzającej Bogu za łaski zlane na świat i na mnie osobiście, dołączać wynagrodzenie za tych, co go nie znają, albo znać nie chcą.

Nie własną mocą możemy składać jakiegokolwiek wynagrodzenie Ojcu Niebieskiemu. Możemy to robić tylko przez Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, korzystając z pomocy anielskiej w tym, czego stale brakuje naszym modlitwom. I podobnie własną mocą nie możemy wynagradzać za kogoś, ale możemy prosić Sił Niebieskich aby uzupełniły i udoskonaliły to, czego brak naszym wynagrodzeniom za innych.

Mateczka osobiście i siostry bogomyślnie zostały wezwane pierwsze do wynagradzania za niegodnych kapłanów (*Początek zawiązku*, akapity 13,

45 *Dzieło Miłosierdzia*, s.13, 28.). Kapłani mariawiccy zostali powołani do wynagradzania za masonów (*Początek zawiązku*, akapit 49, *Dzieło Miłosierdzia* s. 29-30). Potem w objawieniu rozszerzono grono tych, za których ma się ofiarowywać wynagrodzenie (*Początek zawiązku*, akapit 50, *Dzieło Miłosierdzia* s.30) żądając „dostatecznej liczby błagających” (*Początek zawiązku*, akapit 52, *Dzieło Miłosierdzia* s. 32). Objawienie mówi też ogólnie, o rozszerzeniu zarówno drogi Mateczki, jak i łask na Nią spływających, na tych, którzy chcą tą drogą iść i te łaski przyjąć. Czy wynagradzanie za innych jest **obowiązkiem** mariawitów? Czy w ogóle jest obowiązkiem być mariawitą? Boga można kochać i Jego Dziełu służyć tylko całkiem dobrowolnie.

Nie sądzę, aby to obecne moje podsumowanie wyjaśniało już wszystko i zamykało problem. Zachęcam czytelników do nadsyłania dalszych wypowiedzi. Tylko pamiętajmy: dyskutujemy nad problemem postawionym przez *Dominikę modlitewnego wynagradzania za innych*.

A na ostatek bajka, którą opowiedziałem jednej dziewczynce do snu: *W pewnym kraju, gdzie było bezkrólewie i szerzyły się nieporządki, ofiarowano tron zamorskiemu królewiczowi. Przybył, ukoronowano go, został królem. zaczął panować, zaprowadził w kraju ład. Zapanował spokoj i sprawiedliwość. Szerzył się dobrobyt.*

Król, gdy tylko było potrzeba, docierał do miejsc, gdzie się zdarzały jakieś swary, problemy, katastrofy, klęski żywiołowe... Dzięki mądrości i autorytetowi umiał łagodzić wszystkie spory, przewycięzać skutki klęsk. Dla wszystkich było jasne, że tylko dzięki jego osobie kraj kwitnie.

Jego poddani, mieszkańcy tego kraju nie byli bardzo rozumni, ale za to punktualni i obowiązkowi. Urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy, lekarze, panie domu, matki piastujące dzieci - słowem wszyscy pracowali uczciwie od godziny do godziny, a potem się oddawali rozrywkom i wypoczynkowi. Takimi byli też ministrowie i cały dwór królewski. Król dostawał należną pensję, był starannie i z szacunkiem obsługiwany. W hymnie państwowym śpiewanym w każde święto, były słowa czci dla króla. Ponieważ wdzięczność królowi nie była wpisana w konstytucji do obowiązków obywatelskich, nikt mu nie dziękował. Tylko w jednej wiosce rolnicy myśleli jakby tu wynagrodzić królowi jego trudy, ale się uważali za zbyt mało znaczących, aby móc coś dla króla zrobić.

Po wielu latach panowania, królowi zrobiło się smutno, że nikt mu nie okazuje wdzięczności, więc postanowił abdykować i wrócić do swojej ojczyzny. „ Tam u boku mego ojca, będę otoczony ciepłem rodzinnym. To

wszędzie wieje chłodem.” Zmartwiono się tą decyzją, bo kto teraz będzie potrafił skutecznie rozwiązywać stale nowe problemy spływające na kraj?

Wiść o planowanej abdykacji króla dotarła również do mieszkańców wioski. Postanowili podziękować królowi zanim opuści kraj. Zebrali się na odwagę i wystali delegatów, którzy dotarli do komnat królewskich i powiedzieli. „Królu, wiemy iż masz nas opuścić, ale zanim to zrobisz chcemy naszymi słowami miłości (bo niczym innym nie potrafimy) wynagrodzić ci to, coś dla nas zrobić i stale robisz, wynagrodzić ci nie tylko za nas samych, ale i za tych wszystkich twoich poddanych, którzy tego nie robią. A jeśli pozwolisz, to tymczasem tu, a potem i tam dokąd odjedziesz, będziemy cię odwiedzać, żeby ci dziękczynnie wynagradzać poniesione przez Ciebie trudy w imieniu naszym własnym i całego kraju.”

I król pozostał; porzucił zamiar abdykacji.

St.F.



Falszerstwo objawień Mateczki ?

Watykan jedno Zgromadzenia zatwierdzał inne nie. Jedne objawienia pozwalał ogłaszać inne nie. Ale od stu lat było zagadką dlaczego Dzieło Miłosierdzia zostało potępione przez Święte Oficjum Inkwizycji z tak niezmierną surowością. Otóż zagadka się wyjaśnia.

Wśród dokumentów watykańskich dotyczących sprawy potępienia Dzieła Miłosierdzia przez Rzym w roku 1904 dostarczonych dla potrzeb Komisji Mieszanej Kościoła Rzymskokatolickiego i Starokatolickiego Kościoła Mariawitów znalazł się również tekst księgi objawień Mateczki „Początek zawiązku Zgromadzenia Kapłanów”. Był to jeden z głównych dokumentów na podstawie, którego Święte Oficjum Inkwizycji potępiło Dzieło Miłosierdzia i nakazało zniszczenie go z korzeniem. Przy bliższym przyjrzeniu się owemu tekstowi i porównaniu go zarówno z tekstem łacińskim złożonym papieżowi rzymskiemu przez samych mariawitów, który jest znany z publikacji księdza Różyka¹, jak również z oryginalnym tekstem polskiego rękopisu Mateczki, który był

wielokrotnie publikowany, okazało się, że ów tekst dostarczony członkom Świętego Oficjum Inkwizycji jest spreparowany przez wycięcie ważnych miejsc i zszycie w całość pozostałych, z czego odnosi się zupełnie inne wrażenie zarówno o Dziele Miłosierdzia, jak i o Mateczce. Ponieważ ten i niektóre inne dokumenty były udostępnione historykom obu stron, przestały one nosić znamię poufności i można przekazywać ich treść i je komentować. Dlatego pierwotną naszą ideą było opublikowanie tego faktu jako świadomego fałszerstwa dokonanego przez wrogów mariawityzmu, a należącego do techniki uzyskania wyroku potępiającego Dzieło Miłosierdzia. Jednak list jednego z delegatów przeciwnej strony do Komisji Mieszanej, który przypuszcza, że sprawę można interpretować inaczej, powstrzymuje nas od zbyt śpiesznego kroku w tej sprawie. Postaramy się zebrać różne opinie z wielu stron i w następnym zeszycie „Pracy nad sobą” rezerwujemy dla niej wiele miejsca, aby ją spokojnie, z różnych stron i gruntownie oświetlić i omówić.

Rzecz niezależnie od interpretacji jest dość sensacyjna, bo wreszcie udało się znaleźć bezpośrednią przyczynę tak ostrego i bezwzględnego potępienia Dzieła Bożego. Co do tego nie ma wątpliwości. W każdym razie jest to najważniejszy wynik wieloletniej pracy Komisji Mieszanej.

Wiemy, że o tej sprawie krążą już wśród mariawitów różne pogłoski. Myślmy więc, że słuszne będzie nie dodawać do nich mało istotnych dalszych ogólników, lecz po koniecznym czasie przygotowawczym przedstawić pewne, podstawowe fakty.

Mamy nadzieję, że potrzebne materiały uda się nam zebrać w ciągu najbliższych miesięcy, a poświęcony tej sprawie zeszyt „Pracy nad sobą” będzie się mógł ukazać już w listopadzie. Czy zdążymy - okaże czas.

* * *

Ponieważ ta sprawa powinna być interesująca dla każdego mariawity, może ona zainteresować również osoby, które dotychczas „Pracy nad sobą” nie prenumerują. Będziemy wdzięczni za poinformowanie takich osób o tym, co będzie zawierał zeszyt 51 „Pracy”. Może zechcą zaprenumerować?

Redakcja

¹ Ks. Wojciech Różyk - „Objawienia” Marii Franciszki Kozłowskiej - Świdnica 2006

=====

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Paweł – **Porównywanie** – s.1

Ś.P.Andrzej Siemianowski (nekreolog) s.4

brat Paweł - **Profesor Andrzej Siemianowski** - s.5

Honorata Korpikiewicz – **Dwa aforyzmy** – s.10

Inga Trochimowicz - *** - s.10

Jan Jasnorzewski – **Ekumeniczny problem liczby sakramentów** – s.11

Siostra Ł., brat P.-**Problem homoseksualizmu a świadomość mariawicka** -s.12

Wywiad z batem M. Norbertem Szuwartem, arcybiskupem Kościoła Zakonu Mariawitów w Niemczech - s. 14

Seweryn Habdank-Wojewódzki - **Pytanie o duchowe źródło homoseksualizmu** – s.17

Były student - **Myśląc o Obirku i mariawityzmie** – s.23

Redakcja - **Fałszerstwo objawień Mateczki** - s.30

RECENZJE:

Sławomir Gołębiowski - **Testament księdza Pągowskiego** - s.19

LISTY DO REDAKCJI:

WYPOWIEDZI W ANKIECIE: WYNAGRADZAĆ ZA INNYCH:

Leon Maciąg - **Zdaje się, że jednak adoracja wynagradzania** s.25

Lucyna Malik - **Boga ubłagać i wynagradzać Mu** - s.26

St.F. – **Próba podsumowania dyskusji** - s.27

Adminstracja - **Drodzy Prenumeratorzy.** – s.3

=====

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl. Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: brat M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 16 zł, lub pięć kolejnych zeszytów – 20 zł. Należność należy przysyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,45 zł) podając dokładny adres nadawcy. Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 5 kolejnych zeszytów pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 30 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.

=====